

601

MOŚCICKI

GORZKI SMAK EMIGRACJI

Dalsza nasza droga prowadziła przez Rotterdam, Hoek Van Holland i Harwich do Londynu. Do granicy holenderskiej jechaliśmy czwartą klasą, trzeba się bowiem było ograniczać w wydatkach.

W Anglii poczuliśmy wreszcie, że nam już nic nie grozi. I dopiero teraz uświadomiliśmy sobie jak niezwykle sprzyjało nam szczęście w uniknięciu czyhających niebezpieczeństw.

Po przybyciu do Londynu, a było to w początkach sierpnia 1892 r., skierowaliśmy nasze kroki przede wszystkim na Stonord Road, do Mendelsonów. Tego samego dnia jeszcze przeniesiliśmy się w ich pobliże do pokoju umeblowanego, na pierwszym piętrze w domu dwojga młodych ludzi.

Gospodarz był pochodzenia żydowskiego, ale wychowany w Londynie, wyglądał na Anglika. Młoda jego żona była Angielką. Widocznie zachowała swoje wyznanie, bo odwiedzał ją duchowny, na którego ręce składała swoje oszczędności, zamiast do kasy publicznej.

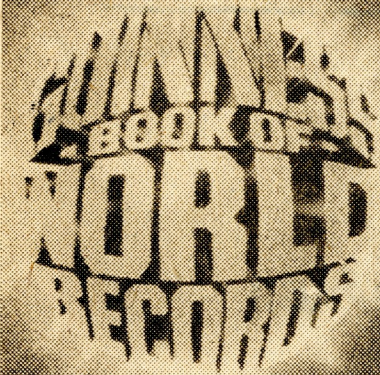
Małżonka moja korzystając z kuchni gospodarzy zaprzyjaźniła się z Angielką i w ciągu roku już dosyć biegle mówiła po angielsku.

Po paru miesiącach pobytu w Londynie przyszła wieść z Warszawy o nieudanym zamachu Zielińskiego w cerkwi prawosławnej. Zapalnik, od którego miał się zająć lont, wybuchł w kieszeni Zielińskiego, lont zaś zawiódł; nie był zabezpieczony od wchłaniania wilgoci. Zielińskiego wyprowadzono na ulicę, a kiedy go prowadzono do posterunku policyjnego, otrul się w drodze, zgryzając małą bańkę z cyjankiem potasu.

Po nieudanym zamachu Zielińskiego, dokonano rewizji u wszystkich moich krewnych, z którymi pozostawałem w kontakcie.

Pierwszym moim zadaniem, po przybyciu do Londynu, było nauczenie się języka. A gdy zrobiłem pewne postępy i zacząłem szukać zajęcia, przekonałem się, że otrzymanie stanowiska chemika przez cudzoziemca jest w moich warunkach prawie niemożliwe. Wprawdzie angielski przemysł chemiczny sprowadzał niekiedy fachowców z kontynentu, ale czynił to za pośrednictwem znanych mu profesorów. Do kandydatów zaś, którzy się już znajdowali w Anglii, nie miał zaufania. Wzbudzali podejrzenie, że opuścili własny kraj z powodu grożącej im kary za jakieś przestępstwa kryminalne. Ten brak zaufania był zupełnie uzasadniony, bo rzeczywiście wiele przeróżnych postaci kryminalnych do Londynu wówczas napływało.

Starania moje o posadę trwały dość długo, zanim uznałem je za beznadziejne. Wreszcie i posiadany zapasik pieniędzy zupełnie się wyczerpał. Do Mendelсона nie chciałem się zwracać o pomoc, albowiem wymownie dawał do poznania, że zbyt wiele kosztuje go pomaganie polskim emigrantom politycznym.



Z KSIĘGI REKORDÓW GUINNESSA

TEKSTY I KSIĄŻKI

Najdłuższy indeks

Dziesiąty indeks zbiorowy „Chemical Abstract” („Pojęć chemicznych”) zestawiony w czerwcu 1983 r. zawiera 23 948 253 000 000 haseł na 131 445 stronach w 75 tomach i waży 172,3 kg.

Najstarsze mapy

Najstarsza mapa powstała ok. 3800 r. p.n.e. na glinianej tabliczce. Przedstawia rzekę Eufrat, płynącą przez Mezopotamię (obecnie Irak).

„Najstarszą do dziś zachowaną angielską mapą jest „Anglo Saxon Mappa mundi” znana jako „Cottonian manuscript”. Pochodzi z końca X wieku.

barometrem nastrojów społecznych. Mówiła o sprawach ważnych, bezkompromisowo oceniała rzeczywistość. Nie było dla niej miejsca w amfiteatrach Opola i Sopotu.

Ale piosenka studencka to także poetycka ballada, błyskotliwy żart, intelektualne przeżycie. To zjawisko, które zainspirowało zawodowych aktorów i wywarło znaczący wpływ na wrocławski Festiwal Piosenki Aktorskiej.

Nikt nie zdefiniował piosenki studenckiej wyczerpująco i ostatecznie, chociaż jej festiwal odbył się niedawno w Krakowie już po raz 23!

Dawniej o twórcach kultury studenckiej głośno było w całym kraju. Najlepsi z nich, choć ich propozycje w publikatorach najchętniej przemilczano, zasilali grupę ambitnych profesjonalistów. Środowiskowe imprezy kulturalne były jednocześnie dla studentów naturalnym uzupełnieniem edukacji. To, co najbardziej wartościowego na polskiej estradzie wywodziło się właśnie z tego nurtu. „Bim-Bom”, „STS”, gwiazdy jazzu, Demarczyk, Grechuta, Smoleń... Studencki rodowód ma także wielu reżyserów, niektóre profesjonalne teatry, a także plastycy i satyrycy: Jan Sawka, Andrzej Mleczko, Edward Lutczyn... Wielu animatorów studenckiej kultury zajmuje dziś ważne stanowiska w Radiokomitecie. Starają się popularyzować to, co kiedyś uznawano za zbyt drapieżne i odważne. Inne. Ale czy dziś, w czasach zaniku aktywności nie tylko twórców, ale i widzów, mają oni co prezentować?

Niedawne Krakowskie Reminiscencje Teatralne nie mogły zadowolić nawet mało wymagającego widza. Studenccy twórcy po prostu nie mieli nic do powiedzenia, co w połączeniu ze słabym warszatem aktorskim (a właściwie jego brakiem) musiało wzbudzać tylko protest i niechęć widzów. Czyżby więc twórcy studenccy, ulegli, wbrew dobrym tradycjom tego środowiska, zwątpieniu i bierności, jakie w ostatnich latach reprezentowały zawodowcy? Zwykle przecież przedstawiciele młodej inteligencji powodowali ferment, który prędzej czy później wywierał wpływ na naszą kulturę. Nawet wstrząs, jaki przeżyli w roku 1968, zamiast osłabić ich aktywność stał się przyczyną niesłychanej erupcji twórczej i legendarnych

orka. Czy 23. Studencki Festiwal Piosenki w Krakowie potwierdził to?

Nie były to już studenckie śpiewania, jakich byłem świadkiem w latach siedemdziesiątych. Inna atmosfera, a nawet organizacja konkursu, któremu patronowało Zrzeszenie Studentów Polskich i Studencka Agencja Artystyczna „ALMA-ART”. Ta ostatnia jest właściwie firmą profesjonalną (organizowała m.in. koncerty Leonarda Cohena w Polsce). Także w Biurze Organizacyjnym tegorocznego festiwa-

JAK PRZEKROCZYĆ PRZECIĘTNOŚĆ

lu znaleźli się sami zawodowcy (reżyserzy, dziennikarze, działacze jazzowi...), zwani w środowisku akademickim „wujami”. Podobno młodzi nie mieli na to ochoty. Minęły więc czasy, gdy nie dla wszystkich chętnych (społeczników!) starczało pracy przy tej, jakże prestiżowej niegdyś imprezie. Było więc bardziej profesjonalnie i jednocześnie skromnie. Mało zwłaszcza imprez towarzyszących, które przed laty opanowywały dosłownie wszystkie kluby studenckie Krakowa. Wtedy trzeba było wybierać między recitalem Demarczyk, Rodowicz, Grechuty, Kleyffa i Młynarskiego. Odbywały się premiery kabaretowe, na które wpuszczano tylko wtajemniczonych (i zaprzyjaźnionych) widzów, a o tym, co się tam działo, długo potem szeptano w całym mieście. Festiwal był nie tylko dla studentów, wielkim przeżyciem i świętem. W tym roku tak się stało, ale uważni obserwatorzy muszą przyznać, że był to festiwal — nie tylko dla piosenki, ale i w ogóle kultury studenckiej — przełomowy. I wcale nie dzięki młodym twórcom. Tutaj wreszcie ujawniła swą siłę młoda publiczność. Nikt nie przypuszczał wcześniej, że przesłuchania konkursowe, które zwykle odbywały się przy pustawej sali (tłoczno było tylko na imprezach towarzyszących i na koncertach

w niemałej przecież sali „Rotundy”. I co ważniejsze, wśród widzów przeważali słuchacze pierwszych lat studiów. Młodzi pracownicy nauki także potwierdzają zachodzące właśnie w środowisku akademickim zmiany. Powoli przelamuje się bierność młodych ludzi. Chcą, jak ich poprzednicy, uczestniczyć w życiu kulturalnym. Są jednak obciążeni konsekwencjami wydarzeń z ostatnich lat. Nie mają ochoty torturować się śpiewanymi filozoficznymi

traktatami, dość mają pesymizmu i słuchania ballad o życiu bez perspektyw. Potrzebują odprężenia. Zbyt często, niestety, próbują tanie chwytły i kabaretową tandetę. Ale coż im się dziwić, skoro zawodowi „wyśmiewacze” nie proponują dziś nic nowego, nie potrafią znaleźć recepty na dobry współczesny kabaret?

Ciekawe, że ta sama publiczność, która bezkrytycznie przyjmowała każdą propozycję satyryczną, potrafiła jednocześnie wychwycić najdrobniejszy nawet fałsz w piosenkach poważnych, autorskich. Tych ostatnich było zresztą niewiele. Przeważały odgrzewane pomysły i puenty w stylu „życie jest teatrem”. Tej dziwnej „modzie” potrafił się przeciwstawić Mariusz Zadura z Lublina — laureat II nagrody i wyróżnienia ZAKR — który zaproponował własne, dojrzałe utwory „Apokalipsa w dwóch obrazach”, „Reduta” i „Obcy”. Jego interpretacja przypominała jednak styl Jacka Kaczmarskiego — laureata sprzed kilku lat.

la poezje Lesmiana. Znacznie ciekawsze, dojrzałe interpretacyjnie i merytorycznie piosenki zaproponowała Joanna Rutecka z Warszawy (III nagroda), której pytanie, zawarte w jednym z utworów, „I jak tu przekroczyć przeciętność?” stało się nieoficjalnym zawołaniem całego festiwalu. A takim odbiciem nastrojów panujących w tym środowisku akademickim.

Jury pod przewodnictwem Olgi Pińskiej najwyżej wyróżniło spośród 37 tzw. podmiotów wykonawczych i prezentantów nurtu satyrycznego (dla niego triumfowali zwykle autorzy i wykonawcy piosenek poważnych zaangażowanych), przyznając dwie równorzędne pierwsze nagrody Mariuszowi Lubomskiemu z Torunia (skorzystał nie tylko z muzyki, ale i manieri wykonawczej Amerykanina Toma Waitsa) i kabaretowi „Potem” z Zielonej Góry, który usatysfakcjonował wielotysięczną publiczność zgromadzoną podczas koncertu laureatów w hali „Współczesny” m.in. piosenką „Protest-song”.

Początkowo festiwal piosenki studenckiej transmitowała na żywo telewizja. Z czasem zaczęto przemilczać na antenie krakowską imprezę. Ten festiwal znowu powrócił do łask Radiokomitetu. Minęły wprawdzie czasy telewizyjnych transmisji na żywo, a najciekawsze piosenki zarejestrowane kamerą wideo, a na antenie radiowej emitowano nawet „Protest-song” z muzyką do czołówki Dziennika Telewizyjnego.

Inne czasy, inne doświadczenia widzów. Może dlatego nie było tak wielu wzruszeń i wyraźnych indywidualności artystycznych jak niegdyś. Może za rok dojdą do głosu ci nowi młodzi studenci, którzy tak tłumnie przysłuchiwali się zmaganiom konkursowym? Przecież oni, podobnie jak laureatka Joanna Rutecka, zastanawiają się także, jak żyć lepiej i ciekawiej — jak przekroczyć przeciętność...

603

Jako właściciel zakładu nie musiałem już przez cały tydzień w nim przebywać. Na obsłużenie codziennych gości wystarczał jeden fachowiec, a tylko w sobotę, wobec bardzo dużej frekwencji klientów, pomoc moja była konieczna. Dochód, po opłaceniu fachowca, wystarczał mi na czynsz za wynajęty lokal. Dom był tak obszerny, że mogło w nim zamieszkać oprócz fryzjera, także jeszcze kilku towarzyszy.

Chcąc wykorzystać swój wolny czas, sprowadziłem kaukaskie grzybki kefirowe i zacząłem wyrabiać kefir. W ten mleczny preparat bardzo wierzyłem i kiedy moja produkcja okazała się doskonała, kupiłem lekki wózek dwukołowy, żeby móc samemu dowozić kefir odbiorcom.

Na podstawie skromnych ogłoszeń otrzymywałem zamówienia, ale tylko od ludności żydowskiej. Starsi Żydzi, kupujący u mnie kefir, znali go przeważnie jeszcze z Rosji. Natomiast Anglicy preparatu tego nie kupowali. Mieli zakorzenione uprzedzenie do mleka, które uległo już fermentacji. Wobec tego nie mając warunków odpowiednich do rozwinięcia przedsiębiorstwa zlikwidowałem je. W to miejsce postanowiłem nauczyć się rzemiosła stolarskiego. Do tego fachu mieli cudzoziemcy łatwy dostęp i liczni Polacy z tego korzystali.

Praktykę odbywałem u majstra, Polaka Boruty, który wytwarzał kilka modeli stolików i biurek inkrustowanych. Co tydzień wywoził wykończone sztuki na specjalne targowisko, na którym sprzedawał je z wolnej ręki. O zamówieniach nie było mowy, gdyż prowadził zbyt małe przedsiębiorstwo.

Już po kilku dniach nauki mogłem pracować z pożytkiem dla warsztatu. Było to możliwe z powodu dużej ilości inkrustacyjnych czynności, do których mogłem wykonywać rysunki. Samo zaś żłobienie w fornirze nie przedstawiało dla mnie trudności. Już nie pamiętam jak długo moja praktyka trwała, dosyć na tym, że przeszedłem do dużego warsztatu stolarskiego, a jako stolarz, który nie posiada jeszcze pełnej wprawy w swoim fachu, pobierałem nieco niższą płacę.

Pod koniec nauki u majstra Boruty wyświadczyłem mu raz pewną wielką przysługę. Miał on dodatkowe zajęcie w dużym bardzo magazynie londyńskim, które polegało na wykonywaniu różnych nadarżających się tam robót stolarskich. Mówił mi on, że za jedną z wielkich jego szyb wystawowych znajdowały się cenne wyroby ceramiczne ustawione amfiteatralnie. Szyba ta często się zraszała, a dostęp do niej był bardzo utrudniony. Gdybym coś na to zaradził, to stanowisko jego w magazynie bardzo by się wzmocniło.

Posłaliśmy więc do odnośnej części sklepu celem zbadania istniejących tam warunków. Amfiteatr z wazonami znajdował się w zupełnie zamkniętej przestrzeni, do której prowadziły drzwi od wewnątrz. W tych warunkach rozwiązanie zadania nie przedstawiało dla mnie trudności. Poleciałem Borucie wywiercić otwór nad szybą wystawową i wmontować tam zwyczajny wentylator skrzydełkowy, poruszany automatycznie ruchem powietrza idącego z zewnątrz. Chodziło mi o dostateczne obniżenie temperatury w przestrzeni wystawowej i zbliżenie stopnia nasycenia powietrza parą wodną do nasycenia powietrza zewnętrznego.

Wielką radość sprawiłem swemu majstrowi, kiedy po zastosowaniu tych środków rada moja okazała się skuteczna. Tym razem jednak nie kontynuowałem swojego zajęcia przy warsztacie stolarskim. Nie mogłem się pogodzić z pełnym zerowaniem z moją nauką przeszłością.

Nie wiodło mi się również w zakładzie fryzjerskim. Zakład mój zaczął podupadać. I gdy już nie było możliwości uratowania sytuacji, byłem zmuszony fryzjersko zlikwidować.